

T O

K t A M S t W O

c i e

Z A B i J e



ZIELONA
SOWA

CHELSEA PITCHER

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

To
KłAMstwo
cle
ZABiJe

To
Kłamstwo
cię
Zabije

CHELSEA PITCHER

Przełożyła Bożenna Stokłosa

**ZIELONA
SOWA**

Tytuł oryginału: *This Lie Will Kill You*

First published in the United States of America in 2018 by

Margaret K. McElderry Books

An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division

1230 Avenue of the Americas, New York, New York 10020

Text copyright © 2018 by Chelsea Pitcher

Redaktor prowadzący: Anetta Radziszewska

Redakcja: Katarzyna Malinowska

Korekta: Beata Wójcik

Opracowanie okładki: Michalina Paczyńska

DTP: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,

Warszawa 2020

All rights reserved

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8154-546-4

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

wydawnictwo@zielonasowa.pl

Dla Sunny

Dziękuję Ci za Twoje dumne, niepokorne serce.

PRZED ROKIEM...

Płonął las. W mroku pełzały płomienie, odzierając drzewa z kory i zamieniając liście w popiół. W tym wielkim, wypełnionym migocącym ogniem piekło stał samochód. Miał wgniecioną maskę i popękane szyby.

W środku siedział chłopak.

Wtedy o tym nie wiedzieli. Właśnie przybyli na miejsce strażacy, a policjanci nie pozwolili gapiom podejść zbyt blisko płomieni. Z miejsca, w którym się znajdowali, widzieli tylko rozprzestrzeniające się po lesie złowieszcze języki ognia. Później wszystko spowił biały dym, dostając się do płuc zgromadzonych ludzi i zmuszając wszystkich do zamknięcia oczu. W końcu miejsce pożaru pokrył popiół i wkrótce w ciemnym lesie zamajaczyły różne kształty.

Wtedy spostrzegli samochód, z którego pod wpływem gorąca złuszczył się lakier, a znajdujące się w środku skórzane fotele zapadły się i pokrzywiły. Modlili się

głośno, żeby w środku nikogo nie było, ale w głębi duszy czuli, że kogoś tam znajdują. Przecież samochody nie przemierzają dróg bez kierowców. Owszem, czasem uderzają w drzewa, koziółkują kilka razy i eksplodują, jednak nie same z siebie. Częściej dzieje się tak dlatego, że za kierownicą siedzi ktoś nietrzeźwy. Wówczas potrafią przemienić wspaniały las w pustkowie. Sprawić, że piękna twarz o księżycowo bladej cerze i zadziwiających niebieskich oczach zniekształca się jak topniejący wosk świecy, aż w końcu nie pozostaje na niej żaden ślad wielkiej urody.

Ogień strawił jego ciało niemal doszczętnie. Spalił długie, zwinne palce do kości. Na zwęglonych zwłokach widać było smużki dymu. Wraz z nimi dusza chłopaka uleciała do nieba. Ludzie szeptali między sobą, że do identyfikacji będą potrzebne informacje na temat uzębienia ofiary. Ale te miały zostać zdobyte później. Teraz przedstawiciele władz zastanawiali się, co sami mogą zrobić na miejscu. Jak otworzyć drzwi samochodu i wydostać stamtąd ciało?

Stojąca za nimi w najmroczniejszym zakątku lasu dziewczyna też się nad czymś zastanawiała, licząc na palcach dłoni w rękawiczce osoby, które podejrzewała o dokonanie zabójstwa. Pierwsza, druga, trzecia... czwarta? Nie miała jeszcze szczegółowych danych, ale z czasem wszystko mogło się wyjaśnić, także dzięki starannie przygotowanemu planowi działania. Na razie postanowiła założyć na twarz maskę obojętności

i być jak porcelanowa lalka, czekając cierpliwie na bieg wydarzeń. Tylko dzięki temu mogła przeżyć. Ten, na którym teraz tlił się ogień, był kiedyś jej chłopakiem – kochanym, trzymanym w ramionach i całowanym przez nią. To się nieodwołalnie skończyło. Pozostały po nim kości i spopielone ciało. Na ten widok zadrdzała i rozplakała się, jednak zaraz powiedziała sobie, że musi być silna, a właściwie zimna jak pozbawiona uczuć lalka. Porcelanowe kończyny nie mogły drżeć, a plastikowe serce – boleć, boleć tak strasznie jak jej serce. Nie mogło zostać złamane. Nie mogło krwawić. Za to szklanymi oczami potrafiła dostrzec wszystko.

Gdy się odwróciła od wraku samochodu, pojawił się przed nią nowy widok: piękna willa stojąca na wzgórzu, a wraz z nią lista doborowych gości i ręka w rękawiczce zapalająca zapałkę. Może jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, jej porcelanowe kończyny znowu staną się cielesne, a serce odzyska czerwoną barwę.

Ale najpierw musiał wybuchnąć pożar.

1.

SUPERDZIEWCZYNA

Juniper Torres obudziła się z uśmiechem na ustach. Właśnie nadszedł ten dzień. Wiedziała o tym, chociaż nie istniał żaden szczególny powód, aby uważać, że będzie inny niż wszystkie. Słońce dopiero wzeszło. Zasłaniały je chmury. Ale to nie miało dla niej specjalnego znaczenia, bo przemówił do niej wszechświat, rozpalając jej krew w żyłach i powodując przyspieszone bicie serca. Usłyszała w myślach jego łagodny melodyjny szept: „Dziś w twoim życiu nastąpi zmiana”.

Usiadła na łóżku, kopnęła zmiętą pościel, wygładziła dłonią rozczochrane włosy i podeszła do okna. Gdy wyrzała przez nie, zobaczyła jasnowęsłą niechlujną listonoszkę, która pochylała się nad skrzynką pocztową i wkładała do niej dużo kopert. Juniper tego nie wiedziała, ale była przekonana, że jest wśród nich ta jedna – najważniejsza. Otworzyła drzwi i ruszyła przez hol do wyjścia, mijając pokój młodszej siostry

i sypialnię rodziców, których nogi i ręce były ze sobą splecione jak gałęzie drzew. Wkrótce wszyscy mieli się obudzić, a wówczas nie mogłaby potajemnie sprawdzić skrzynki pocztowej. Stąpając ostrożnie (i nie nadeptując na skrzypiącą podłogową deskę), mogła teraz wymknąć się z domu niepostrzeżenie.

Wyszła z holu o oliwkowych ścianach do białego zimowego ogrodu, bo w nocy spadł śnieg, a na gałęziach dębów pojawiły się sople lodu. Gdy szła pod drzewami do stojącej na końcu posesji skrzynki pocztowej, w każdej chwili jeden z nich mógł spaść i ją skaleczyć. Kiedy w końcu dotarła do celu, stwierdziła, że pokryta zmarzniętym śniegiem skrzynka wygląda jak zabandażowany obolały kciuk.

Po jej otwarciu wymacała druki reklamowe, jakiś kupon i kopertę. Wyjęła ją. Pomyślała, że w środku znajdzie list, na który czekała. Koperta była duża, gruba i zaadresowana... krwistoczerwonym atramentem? Z wrażenia wysunęła się z jej ręki. Gdy wśród wirujących płatków śniegu spadała na ziemię, Juniper zauważyła, że to nie jest list, na który czekała, tylko zaproszenie. Podniosła tę kopertę hebanowej barwy i przeczytała widniejące na jej odwrocie zdanie: „Zapraszam serdecznie na noc morderstwa i awantury!”. Spojrzała na adres i upewniła się, że to do niej. „Nie, dziękuję”, stwierdziła i przedarła kopertę na pół. Nie chciała tracić czasu na upijanie się z uczniami z jej klasy, a tym bardziej na udawanie, że śmierć to coś zabawnego.

Sprawdzała skrzynkę pocztową tylko dlatego, że z niecierpliwością czekała na zawiadomienie o przyjęciu na Uniwersytet Columbia. System internetowy uczelni nie działał, co znaczyło, że powiadomią ją w tradycyjny sposób. I tak upływał dzień za dniem. Biegała do skrzynki w poniedziałek, wtorek i środę rano, stopniowo tracąc wiarę, że dostała się na studia. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego dotychczas w to wierzyła. To prawda, miała przeważnie znakomite oceny, ale zeszłej zimy, po tamtym przyjęciu w domu na wzgórzu... W związku z tym, co się wtedy wydarzyło, przeżyła wstrząs, chociaż tylko miesiąc zaniedbywała szkolne obowiązki, a nauczyciele na ogół dawali jej szansę nadrobienia zaległości. Jednak nawet gdyby nie dostała się do wybranego przez siebie college'u, mogła liczyć na przyjęcie na kilka innych wyższych uczelni, dzięki czemu znalazłaby się daleko od tego miasta. I tak samo jak na Columbii studiowałaby medycynę, żeby potem leczyć ludzi i ratować im życie. Wszystko zgodnie z jej planem.

Już miała wrócić do domu, gdy w rogu skrzynki spostrzegła jeszcze jedną kopertę, tym razem czarną. Przeszył ją dreszcz, bo przeczuwała, że to drugie zaproszenie „na noc morderstwa i awantury”. Uznała, że prawdopodobnie przez pomyłkę wysłano do niej dwa, i przewróciła oczami. Ale gdy wyjęła kopertę ze skrzynki, zaczęło ją dręczyć poczucie winy. Miała wrażenie, że jej nogi są ciężkie, jakby były z ołowiu.

Zawsze działo się to w taki sam sposób. Robiła to, co każdego dnia, w ogóle nie myśląc o gwiazdkowym przyjęciu u Dahlii Kane, gdy nieoczekiwanie jej nogi zaczynały ciążyć. Czuła się jak człowiek opadający bezwładnie na dno basenu, podczas gdy ludzie wokół beczynnie się temu przyglądają i się naśmiewają.

– Świetliku! Chodź na śniadanie, *mi amor!* – zawołała pani Torres, gdy pojawiła się w drzwiach, zarumieniona od stania przy kuchence. – Co tam masz?

Co za beznadzieja. O tak wczesnej porze Juniper miała słaby refleks. Dwie godziny później (po wypiciu trzech kaw) nigdy nie dopuściłaby do tego, aby jej matka zobaczyła tę kopertę. Niestety teraz znajdowała się w pułapce, bo nie mogła na oczach mamy podrzeć tak dużej czarnej koperty na kawałki. Musiała więc odpowiednio rozegrać.

Podbiegła do drzwi i z wymuszonym uśmiechem oznajmiła, unosząc zaproszenie:

– To tylko kretyński pomysł na dobrą zabawę.

Nie podała matce koperty, ale mocno ścisnęła papier w dłoni. Najwyraźniej pani Torres spostrzegła widniejące na odwrocie wyrazy „noc morderstwa i awantury”, bo wyrwała jej kopertę z ręki.

– Och! To jest zaproszenie na przyjęcie. Powinnas pójść – uznała.

– Co? Nie – odparła Juniper, marszcząc twarz. – Ta impreza jest chyba w sobotę, kiedy oglądamy z Olive *Rudolfa Czerwononosego*.

Olive to jej mała siostrzyczka. Od kiedy zaczęła chodzić, Juniper musiała być nieustannie na zawołanie, tak jak w szpitalu, z tą różnicą, że teraz nie z własnej woli. Dobrze było się przyzwyczaić do spania dwie godziny w nocy, prawda?

– Świetliku, to jest mój dzieciak – zwróciła jej uwagę matka, wchodząc do domu, a Juniper szła za nią, zastanawiając się, jak odzyskać zaproszenie. – Wierz mi lub nie, ale lubię spędzać czas z moimi pociechami.

– A mimo to zmuszasz mnie do wyjścia z domu – odgryzła się Juniper.

– Ja cię tylko zachęcam – skorygowała jej słowa matka, odsunęła krzesło od stołu w kuchni. – Nie chcesz się zabawić w towarzystwie swoich przyjaciół?

Olive siedziała na wysokim krzeselku, chichocząc, bo jak typowa mała dziewczynka wyobrażała sobie, że tańczy z wróżkami.

– To nie są moi przyjaciele – odparła Juniper. – Zaproszenie zapewne dostał każdy uczeń ostatniej klasy.

– To tym bardziej powinnaś pójść – uznała matka i wzięła stary wyszczerbiony dzbanek do kawy. – Po prostu się nad tym zastanów, dobrze? Nie umrzesz z powodu pójścia na przyjęcie.

„Mogę umrzeć”, pomyślała Juniper i zaczęły jej drżeć dłonie. Nie chciała, żeby matka to zauważyła, więc pociągnęła z kubka łyk kawy. Na szczęście pani Torres była zajęta przygotowywaniem *tostadas*. Ale ktoś inny to spostrzegł. Bo gdy Juniper rozlała kawę, jej

maleńka siostrzyczka zmarszczyła czoło i sięgnęła po torebkę matki. Olive miała dopiero dwa lata, a już się zorientowała, że kobiecie zawsze poprawia humor zrobienie makijażu. Juniper nie wiedziała, gdzie mała to podpatrzyła, bo to nie był dom, w którym odbywały się konkursy piękności. Jednak Juniper nie miała nic przeciwko temu, żeby siostra traktowała ją jak żywą lalkę. Olive miała taką rozpromienioną buzię.

– *Tip-sick!** – zawołała, wyjmując z torebki matki błyszczyk w burgundowym kolorze.

Pomalowane nim usta starszej siostry wyglądały całkiem ładnie, jakby zjadła jagody lub wypła czerwone wino. Nastolatka nie miała nic przeciwko temu, żeby prezentować się atrakcyjnie, o ile nie przyćmiewało to innych jej zalet. Gdy siostrzyczka nakładała na wargi Juniper błyszczyk, ta czuła żal, że nie zostanie w tym mieście. Chciałaby bowiem nauczyć siostrę, jak czynić ludzi lepszymi, a nie piękniejszymi. Niestety nie mogła tu zostać po tym wszystkim, co się wydarzyło. Naprawdę nie mogła. Poza tym nic, co by powiedziała Olive, nie miało dla niej takiego znaczenia jak zdobycie zawodu lekarki, czego zawsze pragnęła. Postanowiła zrobić wszystko, co sobie zaplanowała, aby kiedyś móc zabrać swoją rodzinę z tego straszego miasteczka i umieścić ją z dala od jego tajemnic i duchów.

* Dziewczynka przekręciła nazwę. Zamiast powiedzieć *tip-stick*, powiedziała *tip-sick*, dosł. chory koniuszek, zamiast koniuszek patyczka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Gdy Olive umalowała jej usta błyszczkiem, klasnęła w dłonie i pisnęła:

– Ładnie!

Juniper zrobiło się łzej na duszy.

– To ty jesteś ładna, małeńka – pochwaliła siostrę, która chwyciła ją rączką za palec.

Gdy stojąca przy kuchence matka umilkła, Juniper odwróciła się w jej stronę. Na widok mamy opierającej się o kuchenny blat i czytającej wyjęty z koperty list dostała gęsiej skórki.

– Co to jest, mamó? Co to jest? – dopytywała.

Matka nie odpowiedziała, więc teraz to Juniper wyrwała jej list z ręki, nawet nie próbując odzyskać go w jakiś subtelniejszy sposób. Zaczerpnęła powietrza i przeczytała:

Droga Panno Torres,

ze względu na Twoje WYBITNE WYNIKI W NAUCE zapraszam Cię serdecznie na kolację, na której trzeba będzie odkryć tajemnicę morderstwa! Przygotuj się na wyzwania, gdy w gronie sześciorga świętych uczniów z Twojej klasy będziesz się starała rozwikłać tę zagadkę i ująć zabójcę!

Świat stanie się sceną!

Przyjaciel – wrogiem!

Kostiumy zostaną Wam dostarczone w tym tygodniu!

I oczywiście zwycięzca otrzyma upragnione Stypendium

Zgliszcze w wysokości 50 000 dolarów, które wykorzysta
w wybranej przez siebie szkole wyższej.

Twój unizony ofiarodawca,
Konferansjer

– To jakieś oszustwo – wyrwało się Juniper, ale nie zamierzała korygować tego, co powiedziała.

Nawet wówczas, gdy zauważyła, że matka ciężko opada na krzesło i zszokowana zaczyna ponownie czytać zaproszenie.

– Miałaś rację. To przyjęcie odbędzie się w sobotę – oznajmiła pani Torres chropawym głosem. – Najwi-
doczniej musieli się zdecydować w ostatniej chwili.

– Mamo, to jest oszustwo – powtórzyła zniecierpliwiona Juniper, chociaż nie chciała jej rozczarować. – Prawdziwych stypendiów nie przyznaje się w ten sposób.

Nigdy nie słyszała o Stypendium Zgliszcze. Nigdy. I nie podobał jej się sposób jego przyznawania.

– To nie jest oferta – odparła ze spokojem pani Torres. – To konkurs.

– Prawdziwe stypendia nie wymagają rywalizacji – argumentowała Juniper. – A przynajmniej nie takiej. Nie przyznaje się ich na kolacji, „na której trzeba będzie odkryć tajemnicę morderstwa”.

– Bieda kolacja! – krzyknęła Olive.

Juniper się wzdrygnęła, bo nie chciała, żeby siostrzyczka powtarzała te słowa.

– Ciii, maleńka. Jedz swoje *cheerios* – zachęciła ją.

Niestety był to daremny trud, bo sama zapomniała o swoim śniadaniu, które nadal tkwiło na kuchence. W tej chwili nawet nie miała ochoty na kawę.

– Posłuchaj. Postaram się czegoś dowiedzieć o tych Zgliszczach – powiedziała do matki i chwyciła jej telefon. – Ale z pewnością fundacje przyznające stypendia nie podpisują swoich listów wyrazem „konferansjer”.

– Ktoś stara się zrobić z tego zabawę – tłumaczyła jej pani Torres.

– Stara się zrobić na mnie pieniądze – ripostowała Juniper, a potem wpisała do wyszukiwarki internetowej: Stypendium Zgliszcz, ale i tak nie spodziewała się, że coś znajdzie na ten temat. I dodała: – Poczekajmy trochę, a przekonamy się, że mam rację. W przeddzień konkursu dostanę drugi list, w którym poproszą mnie o wpłatę wpisowego. Jeśli ta fundacja nie ma strony internetowej...

Umilkła i kliknęła w pierwszy z kilku linków. Okazało się, że Fundacja Zgliszcz nie tylko ma stronę internetową, ale też wygląda na działającą legalnie. W zakładce „O nas” wskazano cele projektu (wynajdywanie wyjątkowych, fascynujących sposobów nagradzania uczniów celujących w nauce, sztuce i sporcie), a w zakładce „Kontakt” podano numer telefonu, adres mejlowy i lokalizację fundacji. Juniper przysięgła sobie, że przed sobotnim wydarzeniem skontaktuje się ze Zgliszczami w każdy możliwy sposób, aby się

upewnić, że pracują tam ludzie z krwi i kości lub raczej, że w ogóle takich tam nie ma. Nie wiedziała, dlaczego jest tak negatywnie nastawiona. Przecież stypendium w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów zmieniłoby jej życie. Czy nie poświęciła ostatnich sześciu miesięcy na aplikowanie o każde możliwe stypendium, jakie znalazła, w nadziei że dostanie jedną piątą tej sumy?

– Nie starałam się o to stypendium – wymamrotała, podejmując ostatni rozpaczliwy wysiłek logicznego myślenia. – Zapamiętałabym.

– Czasami zgłaszają twoją kandydaturę nauczyciele i psychologowie szkolni. Byłaś tak dobrą uczennicą, że miałaś nawet wygłosić mowę pożegnalną na zakończenie szkoły – przypomniała jej matka.

„Owszem, miałam ją wygłosić. Niestety w grudniu ubiegłego roku poszłam na tamto przyjęcie...”, potwierdziła Juniper w myślach.

– Chwileczkę... Jeszcze rzucę okiem. – Rozprostowała leżący na stole list i szybko odnalazła datę planowanego wydarzenia: 21 grudnia, czyli d o k ł a d n i e rok po gwiazdkowym przyjęciu u Dahlii Kane. – Mamo...

– Te pieniądze to byłoby dla nas coś wielkiego – przerwała jej pani Torres. – Twój ojciec potrzebuje dobrych wiadomości.

– Wiem – przyznała Juniper i spojrzała na jego puste krzesło.

Po piętnastu latach prowadzenia lekcji wychowania muzycznego w szkole podstawowej w Fallen Oaks pan

Torres stracił pracę z powodu ostatnich cięć budżetowych. Teraz było słyhać jego kroki w pokoju na górze. Przymierzał krawaty, bo szykował się na kolejną nieprzyjemną rozmowę kwalifikacyjną.

– Powiesz mu, że przepuszczasz okazję zdobycia pięćdziesięciu tysięcy dolarów? – spytała matka i unieruchomiła Juniper spojrzeniem. – Po wszystkim, co przeszedł?

– Oczywiście, że nie – odparła Juniper i przełknęła ślinę, czując ucisk w klatce piersiowej. – Po prostu nie rozumiem, kto mógł mnie zgłosić na coś takiego. Absolutnie nie potrafię udawać.

– Może Ruby? – podsunęła jej matka.

Juniper zamruwała. Widziała wpatrzoną w nią matkę, a z boku podskakującą na wysokim krześle siostrę, ale miała poczucie, jakby ona sama znajdowała się poza czasem i przestrzenią.

– Chcę tylko powiedzieć, że ona ma zamiłowanie do dramatyzmu. Podobają jej się tego rodzaju rzeczy – wyjaśniła pani Torres. – Może zadzwoń do niej i spytaj o wszystko. – A potem dodała ledwie słyszalnym głosem: – Tęsknię za nią.

„Ja też za nią tęsknię”, pomyślała Juniper, przywołując w pamięci Ruby z jej uśmiechem, śmiechem i dotykiem. Oczy zaszkły jej łzami. Odsunęła od stołu krzesło, na którym siedziała, aż zaskrzypiało, i dodała w myślach: „Niestety ona za mną nie tęskni”.

Zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni i oparła się o nie. Miała świadomość, że reaguje przesadnie, ale nie wiedziała, jak nad tym zapanować. Czuła się jak we śnie, w którym jest się sobą, a zarazem patrzy się na siebie z boku. Jakby miała w sobie dwie osoby niczym Jezus, który łączy w sobie zarówno człowieka, jak i Boga. Chodziła po pokoju i kręciła głową. Jeśli w ogóle mogła się uznać za osobę religijną, to zaledwie za niezbyt gorliwą katoliczkę o skłonności do ateizmu. Po prostu nie była pewna, czy w ogóle jeszcze w cokolwiek wierzy. Pomimo to zawsze fascynowała ją idea bycia Bogiem, a zarazem człowiekiem jak Jezus. Idea przebywania w ludzkim ciele i równoczesnego spoglądania na siebie z wysoka. Może to znaczyło, że ma się ciało i duszę, ale też cały czas jest się w określonym miejscu, a zarazem wszędzie.

Wyjęła z torebki telefon. Tego rodzaju myśli pojawiały się w jej głowie mimowolnie, były to rozmyślenia kogoś, kto wciąż desperacko potrzebował porannej dawki kofeiny. Ale właściwie знаła prawdę: po wszystkim, co zrobiła swojej przyjaciółce Ruby, chciała wierzyć w możliwość zbawienia. Chciała wierzyć, że ma duszę.

Drżącymi palcami napisała do niej esemesa: „Czy ty zgłosiłaś mnie do konkursu stypendialnego Fundacji Zgliszczce?”. Wciąż pamiętała jej numer. Nie potrafiła się zmusić do jego wykasowania, w czym dostrzegą

jakąś ironię, jeśli wziąć pod uwagę, do usunięcia czego, a raczej kogo, z życia Ruby się przyczyniła.

Po wysłaniu esemesa położyła komórkę na łóżku, bo absolutnie nie zamierzała ze ściśniętym sercem ślezczyć przy telefonie i czekać na odpowiedź jak smutna i pełna nadziei młoda dziewczyna na balu maturalnym. Ale może Ruby czekała na znak od n i e j? Bo telefon brzdęknął niemal natychmiast po jego odłożeniu, więc Juniper podniosła go i jak w gorączce spojrzała na odpowiedź: „Nie”. W reakcji na nią roześmiała się zimnym, nieprzyjemnym śmiechem. Oczywiście, Ruby nie zgłosiła jej kandydatury na to stypendium. Nie przejawiała troski o nią poprzez podejmowanie jakichś zakulisowych działań. Ich przyjaźń się skończyła. Dawno temu. Juniper opadła na łóżko. Gdy jednak ekran telefonu ponownie się rozjaśnił, serce zabiło jej mocniej. Zaskoczyło ją to, bo jak mogła wciąż mieć nadzieję na odnowienie kontaktów z Ruby po tym wszystkim, co się stało. Jej zranione serce przepełniały smutek i żal. A mimo to wciąż tliła się nadzieja. Po przeczytaniu drugiego esemesa na chwilę straciła oddech. „Nie zgłosiłam twojej kandydatury, ale idę na to przyjęcie. Może razem odkryjemy tę tajemnicę?” Juniper nie ufała już słowom, więc wysłała jej ikonkę uśmiechu.

2.

KRÓLOWA PATOSU

Ruby Valentine była jak podpalona i gotowa do wybuchu petarda. Czuła napięcie pod skórą i drżenie w palcach. Od chwili gdy dostała od Fundacji Zgliszcze zaproszenie na przyjęcie, nie mogła ustać spokojnie, bo tak była tym podekscytowana. Oznaczało to dla niej wspaniałe możliwości! Owszem, to było dosyć dziwne, ale w Fallen Oaks zawsze działały się dziwne rzeczy. Zjawiali się tu jacyś ludzie i niespodziewanie znikali. Piękne dziewczyny bez pamięci zakochiwały się w potworach, a chłopaków pochłaniał ogień, zamieniając ich w światło.

„To jest miasto dziwaków w pięknych maskach”, pomyślała Ruby, odwracając wzrok od swojego odbicia w lustrze. Wiedziała dużo o tym, jak zrobić przedstawienie. A teraz, zanim pójdzie na to przyjęcie stulecia, musi je zrobić przed matką. Narzuciła szlafrok na czerwona, wyszywaną cekinami sukienkę wyjściową

i nałożyła na nos odrobinę różu, bo świeża cera mogła jej pomóc uwiarygodnić opowieść, którą zamierzała przedstawić matce. Następnie wybiegła z pokoju niczym księżniczka uciekająca przed potworem. Ktoś inny by się potknął, jednak w przeciwieństwie do Juniper Torres, która nie potrafiła ustać na jednej nodze przez kilka sekund, Ruby Valentine poruszała się z gracją baletnicy. Wydawało się, że jeśli zechce, to pokona grawitację i wzbije się w powietrze.

Wśliznęła się do salonu, uklękła za wysłużoną kanapą i szepnęła matce do ucha:

– Mamo, nie mogę zasnąć.

Matka odwróciła się do niej, a wraz nią Scarlet, Charlotte i May, cztery piękne rudowłose istoty. I cztery pary oczu utkwili w niej wzrok.

– Która godzina? – spytała pani Valentine, ziewając.

Była ubrana w spraną kwiecistą koszulę nocną i uczesana w niechlujny koński ogon.

– Jest po dziewiątej – oznajmiła Ruby, spoglądając na ekran swojego telefonu. Przyjęcie zaczynało się o dziesiątej. Zwróciła się do siostr: – Powinnyście już spać.

Dziewczynki zaprotestowały, a pani Valentine westchnęła, niezdolna udźwignąć spoczywającego na niej brzemienia odpowiedzialności. Kiedyś miała męża, który wieczorem pomagał jej kłaść spać ich małe córeczki, rano je ubrać, a w południe przygotować dla nich lunch. Niestety odszedł i teraz musiała sama

wychowywać cztery córki. Jednak zwykle to Ruby kładła spać swoje trzy młodsze siostry, z wyjątkiem tego wieczoru. Musiała udawać, że sama zaraz się położy, aby dzięki temu wymknąć się z domu przez okno swojego pokoju. Jednak najpierw powinna się dostać do sejfu w suterenie.

Matka przyglądała jej się badawczo. Obie miały takie same jasnoniebieskie oczy i piegi na nosie, a ponadto fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

– Daję wam jeszcze kilka minut – powiedziała po chwili do młodszych córek i zwróciła się do Charlotte: – Będiesz dziś spała w moim pokoju, żeby nie przeszkadzać starszej siostrze.

– Ona mi nie przeszkadza – zaprotestowała Ruby. – Przeszkadza mi mój m ó z g. Kiedy nie mogę spać.

– Znowu masz ten sen? – spytała matka.

Ruby zamarła w bezruchu. Naprawdę nie przyszło jej do głowy, że mama może poruszyć ten temat. Gdy po raz pierwszy opowiedziała jej swój koszmar, pani Valentine strasznie zbladła. Stanowiło to niesamowity widok, bo miała mleczną cerę. Ruby wydawało się, że matka zamienia się w ducha, co przeraziło ją bardziej, niż skłonna była przyznać. Nie bała się ani życia, ani śmierci, ale właśnie duchów. I miała ku temu powód.

– Leżałam w łóżku i próbowałam zasnąć – zaczęła. – Niestety cały czas przypominał mi się ten sen. Staralam się o nim nie myśleć, jednak to tylko pogarszało sytuację. – Po tych słowach pochyliła głowę. Gdyby

przesadziła ze swoją opowieścią, musiałaby znowu udać się do psychiatry. Ale jeśli nie przesadziłaby ani trochę, to matka nie pozwoliłaby jej otworzyć sejfu. Zapewniła ją więc: – Chcę wziąć tylko jedną tabletkę. Przyniosę na górę opakowanie i policzysz.

– Nie przynoś – odparła pani Valentine. – Muszę ci ufać. Należy wierzyć sobie nawzajem.

Ruby skinęła głową. „To podaj mi kod”, pomyślała, lekko pociągając nosem i w ten sposób przypominając matce, że jest młodą niewinną dziewczyną, a nie osobą ocalałą z katastrofy, że jest dzieckiem, które potrzebuje swojej matki.

Pani Valentine uśmiechnęła się i pogłaskała ją po policzku.

– Trzy, jedenaście, dziewiętnaście – zdradziła jej numer.

Ruby odetchnęła z ulgą.

– Dzięki. To ostatni raz.

Wstała i ruszyła do wyjścia, usilnie starając się posuwać do przodu wolnym miarowym krokiem, chociaż jak najszybciej chciała opuścić dom, zanim matka zmieni zdanie i wszystko zepsuje.

Szczęśliwie już po chwili stała przed drzwiami suterenu. Przekręciła gałkę i otworzyła je, wznecając kurz. Jej młodsze siostry nie miały tu wstępu. Chodziło o to, że mogły się potknąć na schodach i porozbijać sobie głowy, a poza tym zgubić się w labiryncie pudełek lub natknąć na myszy. Naprawdę nie miały po co

tu przychodzić. Ruby natomiast lubiła przebywać tylko w tym jednym miejscu w domu, bo nikt tu za nią nie szedł, nie ciągnął jej za rękaw i nie zakłócał ciszy. Traktowała tę suterrenę jako swoją kryjówkę i oazę spokoju. Było tu zimno i ciemno, ale przyjemnie. Pociągnęła za sznurek, a wówczas włączyło się światło i jej oczom ukazało się wnętrze wypełnione wyrzuconymi ubraniami i uszkodzonymi zabawkami. Na podłodze widniały małe kałuże wody, które brały się nie wiadomo skąd. Przy ścianie na wprost drzwi stał zrobiony przez ojca regał, na którym kiedyś rodzina trzymała albumy fotograficzne. Teraz był pusty. Ruby odwróciła od niego wzrok, powstrzymując łzy, bo w prawdziwym życiu nie płakała. Robiła to tylko na pokaz albo przy matce, w chwilach rozpacz. Dziś rozpaczliwie potrzebowała dostać się do sejfu.

Gdy podeszła do małego czarnego schowka w kształcie sześcianu, przeszył ją dreszcz. Uklękła i wybrała kod – trzy, jedenaście, dziewiętnaście. Usłyszała kliknięcie i otworzyła drzwiczki, a następnie wyjęła z mrocznego wnętrza przedmiot, po który tu przyszła. Był cięższy, niż się spodziewała, i zimny. Po zniknięciu ojca matka kupiła rewolwer na zapleczu sklepu ze starociami, a w aptecce – zakręcane pudełko z tabletkami nasennymi. Ten pierwszy od razu trafił do sejfu, podczas gdy to drugie przez kilka miesięcy stało na nocnym stoliku Ruby, bo to jej lekarz przepisał proszki. Dopiero po jakimś czasie pani Valentine

zamknęła tabletki w sejfie, starając się w ten sposób kontrolować ich zażywanie przez córkę. Teraz, dwa lata po rozpadzie ich rodziny, Ruby ledwie o nich pamiętała. Nie zapomniała natomiast o rewolwerze. Przesunęła palcem po jego krzywiznie, trzymając go lufą do przodu. Wiedziała, że to bardzo niebezpieczny przedmiot. Gdy ojciec zniknął, a matka zaczęła się paranoicznie bać, że jacyś obcy mężczyźni uprowadzą jej córki, Ruby zapisała się na kurs posługiwania się bronią. Zdaniem pani Valentine porywacze mogli uprowadzić dziewczynki w każdej chwili – zarówno wtedy, gdy szły do szkoły, jak i podczas snu. Oczywiście Ruby wiedziała, że takie porwania się zdarzają. Jednak o wiele bardziej obawiała się tego, że któraś z młodszych siostr natknie się w domu na rewolwer i uzna go za zabawkę. Dlatego w tym samym tygodniu, w którym matka kupiła broń, namówiła ją do nabycia tego sejfu, aby można było przechowywać w nim rewolwer bez narażania dziewczynek na niebezpieczeństwo. I tak oto spoczął w tym ciemnym pomieszczeniu, stając się bardziej symbolem niż rzeczywistą bronią. Do tej chwili.

Rewolwer był zabezpieczony. Ruby sprawdziła to, zanim go ukryła pod szlafrokiem. Zamykając ze szczękiem sejf, przekręciła tarczę. Wiedziała, że tego wieczoru matka tu nie przyjdzie i nie sprawdzi pojemnika z pastylkami, aby się dowiedzieć, czy córka nie zabrała ich za dużo. W ciągu ostatniego roku Ruby odzyskała jej zaufanie. I teraz, idąc z rewolwerem przyciśniętym

do biodra, odniosła z tego korzyść. Nikt nie mógł jej o nic podejrzewać.

Gdy wracała po schodach na górę, nogi się pod nią ugiwały. Po wejściu do salonu zatrzymała się za kanapą, pocałowała matkę i każdą z siostr w policzek, a potem przemierzając hol, pospiesznie udała się do swojego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i włożyła rewolwer do czerwonej, ozdobionej cekinami torebki, która była częścią jej stroju na przyjęcie. Została wczoraj doręczona pocztą wraz z sukienką, rękawiczkami i butami. Wszystkie te rzeczy pasowały do siebie pod względem kolorystycznym, a całości dopełniała szminka Ruby. Ale zanim dziewczyna się umalowała, zdjęła szlafrok i włożyła go pod kołdrę w taki sposób, żeby wydawało się, że ktoś pod nią śpi. To była kiepska sztuczka i większość rodziców nie dałaby się na nią nabrać. Na szczęście dla Ruby pani Valentine wydawała się nieco rozkojarzona. Od czasu zniknięcia męża czuła się zagubiona i żyła w stanie pustki wewnętrznej. Wprawdzie stopniowo wracała do siebie, jednak wciąż było jej daleko do odzyskania równowagi psychicznej. Dlatego Ruby liczyła na to, że matka niczego nie zauważy. Miała nadzieję, że gdy pani Valentine i jej młodsze córki uznają, że ta najstarsza śpi, nie będą próbowały jej obudzić. Charlotte nauczyła się tego przed dwoma laty. Usłyszawszy krzyki śpiącej Ruby, podbiegła do niej, chcąc ją wyrwać ze snu. Jednak Ruby rzucała się na łóżku z taką siłą, że nieświadomie

uderzyła potrząsającą nią biedną Charlotte, a ta straciła równowagę i upadła na podłogę. Do tej pory Ruby miała z tego powodu wyrzuty sumienia. A wydawało się, że po zniknięciu ojca już nigdy na rękach i nogach jego córek nie pojawią się siniaki. Nie można było dopuścić do tego, żeby trzy młodsze dziewczynki bały się, że śpiąca Ruby bezceremonialnie odepchnie którąś z nich, jakby były lżejsze od piórka. Dlatego tamtej nocy poprosiła matkę o tabletki nasenne. Miała nadzieję, że po zażyciu leku stanie się ociążała i już nikomu więcej nie wyrządzi krzywdy, bo przestanie rzucać się w łóżku pod wpływem koszmarne go snu.

Niestety zażycie tabletki nie uwalniało od tego snu, który był bardzo plastyczny. Zawsze zaczynał się od sceny, w której Ruby siadała na łóżku przekonana, że się obudziła. I w tym momencie dobiegała jej uszu melodia cicho nucona przez ojca pięknym barytonem.

– Tata? – pytała szeptem.

Najpierw spostrzegała palce zaciskające się na lekko uchylonych drzwiach, a następnie twarz okoloną potarganymi rudymi włosami i piwne, śmiejące się oczy o łagodnym spojrzeniu.

– Tata? – powtarzała.

Zadawała to niemądre pytanie, bo oczywiście to był on, chociaż z jego oczodołów wypęły robaki i miał tak bladą cerę, że trudno było uwierzyć, że to żywy człowiek. A mimo to otwierał drzwi i wchodził do pokoju na nogach, które zaczynały się rozkładać.

Gdy zmierzał do łóżka, czasami rozlegał się trzask jego kości, a wówczas upadał na kolana. Mimo to wciąż się posuwał do przodu, idąc, potykając się i czołgając.

– Nic nie zrobiłam! – krzyczała, bo zawsze tak robiła, gdy te błyszczące oczy o jasnym spojrzeniu pochmurniały.

– Kłamiesz – odpowiadał. – Wiesz, co przydarza się kłamczuchom.

Wiedziała o tym od czasu, gdy była małą dziewczynką i wczołgiwała się w jakieś ciasne miejsce lub pod łóżko, żeby się ukryć. Później nauczyła tego młodsze siostry. A gdy urosła i nie mogła się wymknąć ojcu, stawał przy niej i ją uderzał, chwycił za kołnierz lub twarz. W tym śnie wbijał jej w policzki paznokcie i groził, że rozerwie ją na strzępy. Gdy spuszczała wzrok, widziała na podłodze ziemię, a gdy go podnosiła, spostrzegła wokół swojego łóżka drzewa. Wtedy zdawała sobie sprawę, że nie znajduje się w swoim pokoju, ale na swoim grobie, i udręczona zaczynała przeraźliwie krzyczeć. Jednak nikt nie spieszył jej z pomocą i jej nie słyszał, z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy Charlotte przybiegła do niej ze swojego łóżka i zaczęła nią potrząsać, chcąc ją obudzić. Siostra obroniła ją przed śniącym się jej ojcem, jednak zapłaciła za to upadkiem na podłogę. Wówczas Ruby zaczęła zażywać pastylki nasenne i koszmar senny stał się mniej wyraźny, a teraz, po dwóch latach od tamtego zdarzenia, niemal

całkowicie się rozmył. Gdy przeglądała się w lustrze i widziała swoją trupioblądą twarz, miała najstraszniejszą w życiu wizję uczestniczenia we własnym pogrzebie i przekonywania ludzi, że nie umarła.

– On żyje – zapewniła ją matka, gdy Ruby opowiedziała jej ten sen. – Zostawił nas. Nie stracił życia.

Ruby skinęła głową, zachowując swoje myśli dla siebie. Żywy ojciec mógł wrócić do rodziny i zacząć wszystko od nowa lub stracić ją na zawsze. Ruby dojrzała do tego, żeby ta sprawa się dla niej skończyła, żeby już ani za nim nie tęskniła, ani też nie żywiła do niego nienawiści. I być może potrafiła tego dokonać. Może dzisiejszy wieczór miał stanowić dla niej początek końca tego wszystkiego. Pójdzie na przyjęcie, rozwiąże zagadkę czyjejś śmierci i pozostawi wszystko za sobą. To miasto wraz z jego małymi wstydliwymi tajemnicami i wspomnieniami, zarówno te przykre, jak i te radosne.

„Chcę mieć czyste konto”, pomyślała, wkładając telefon do torebki, gdy na ekranie wyświetliła się wiadomość, że czeka na nią samochód. Nie mogła pojechać na przyjęcie swoim autem, bo matka by ją usłyszała. Wyprostowała ramiona, mówiąc sobie, że to tylko krótka przejażdżka. Nie musiała przecież w ogóle rozmawiać z kierowcą. Włożyła buty i rękawiczki, przewiesiła torebkę przez ramię i wyszła przez okno swojego pokoju na parterze, a potem zniknęła w mroku.

3.

ZŁOTY CHŁOPAK

Parker Addison nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Do jego samochodu wsiadła Ruby Valentine! Jego Ruby, jego pierwsza dziewczyna, ta, z którą po raz pierwszy się kochał. Ta, która zdobyła jego serce. Przed rokiem wymknęła mu się z rąk. Dziś chciał ją odzyskać. Przekrzywił lusterko wsteczne i przejrzał się w nim po raz nie wiadomo który. Miał na sobie ciemnozielony garnitur podkreślający szmaragdową barwę oczu. Jego jasne włosy były perfekcyjnie zmierzwione i przyjemne w dotyku. Wyglądały tak, jak lubiła Ruby. Ale nie próbował jej pocałować. Jeszcze nie czas na to. I nie położył ręki na jej kolanie. Postanowił dobrze to rozegrać, aby znowu rzuciła mu się na szyję.

Siedząca obok niego Ruby westchnęła.

– O co chodzi, kochanie? – wymknęło mu się mimo próby samokontroli, bo uznał, że żadne inne określenie

nie byłoby właściwe. Niemniej jednak stwierdził, że to błąd, więc dodał: – BTW, superowo wyglądasz.

Ruby prychnęła, nie odrywając wzroku od szyby.

– Jedź, dobrze?

Parker wjechał na drogę.

– Cholera, Ruby. Dlaczego nie chcesz mi dać szansy? – spytał zaczerwieniony.

– A co mam zrobić? Cofnąć czas? Stać się kimś innym? – odparła z pretensją, nadal na niego nie patrząc.

Dla Parkera ta jej niechęć do nawiązania z nim kontaktu wzrokowego była gorsza, niż gdyby na niego warknęła albo roześmiała mu się w nos. Bo spoglądając na niego, przypomniałyby sobie, dlaczego obdarzyła go uczuciem, i teraz wszystko wyglądałoby inaczej. Mogliby przestać udawać, że nie są dla siebie stworzeni.

Gdy prowadził samochód, zerkał na każdą restaurację, w której byli, i na każde kino, gdzie się obściskiwali i całowali. Niestety Fallen Oaks wypełniały typowe sieciowe restauracje wepchnięte pomiędzy małe galerie handlowe. Dlatego nie mógł precyzyjnie wskazać baru Dairy Queen i przywołać związanych z nim romantycznych wspomnień, które ze sobą dzielili. Inne natomiast same przyszły mu do głowy, gdy mijali parking zniszczonego budynku lumpeksu. Wówczas stuknęła palcem w okno, przyciągając w ten sposób uwagę swojej byłej dziewczyny.

– Pamiętasz tamto Halloween, gdy byliśmy w drugiej klasie ogólniaka? – spytał. – Szłyście tam z Juniper Torres.

– Pamiętam – potwierdziła Ruby cichym głosem, bez uśmiechu, ale przynajmniej nie spojrzała na niego wilkiem, co uznał za początek odbudowywania ich relacji.

– Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem – wyznał.

– Znałeś mnie wcześniej – przypomniała mu rzeczowo.

– Jasne, ale za każdym razem wydawało mi się, że widzę cię po raz pierwszy – argumentował.

Ruby w milczeniu spuściła głowę.

Parker chciał się wdrzeć w jej myśli. Mało brakowało, a wzięłby ją za rękę. Na szczęście się powstrzymał i wyglądał przez okno, wspominając tamten wieczór. Słońce już zaszło, a on od jakiegoś czasu czekał na tym parkingu. Słyszał w szkole, że Ruby i Juniper umawiały się po kolacji na zakupy w lumpeksie, więc około wpół do szóstej zaparkował przed galerią handlową i czekał na nie w samochodzie. Gdy w końcu się zjawiły (nie-mal godzinę po jego przyjeździe), przygotowywał się psychicznie do tego spotkania, słuchając na cały regulator stacji radiowej 102,5 The Rock i zastanawiając się nad tym, co powiedzieć Ruby.

„Kocham cię” – było zbyt odważne. „Pragnę cię” – w żadnym wypadku nie zostałyby dobrze przyjęte przez dziewczynę taką jak ona. „Potrzebuję cię” świadczyłyby

o tym, że chce się jej ucześcić, więc by go wyśmiała. Problem w tym, że naprawdę jej potrzebował. Desperacko. I kochał ją od tak dawna, że już nawet nie pamiętał od kiedy.

Gdy zobaczył ją i Juniper, od razu wysiadł z samochodu i podążył za nimi przez parking do lumpeksu. Ze strzępów ich rozmowy, jakie dotarły do jego uszu podczas lunchu w szkolnej stołówce, wywnioskował, że na Halloween zamierzały się przebrać za Romea i Julię, tyle że w wersji zombie. Poza tym właściwie nic go nie obchodziło. Wystarczyła mu wiedza, że żaden palant w mieście nie będzie oglądał kołyszących się pośladków, apetycznie zaokrąglonych jasnych ud i piersi grającej Julię Ruby, falujących nawet wtedy, gdy stała.

Był w połowie parkingu, kiedy usłyszał dochodzący z tyłu czyjś wysoki nosowy głos:

– No, ma wielkie cycki, ale jej rodzina to hołota.

Słyszając to, zeszczywniał i zacisnął dłonie. Przy kublach na śmieci stało kilku uczniów pierwszej klasy ogólniaka, chudzielców o wampirycznie bladej cerze. Ten pośrodku łypał na Ruby. Niewiele myśląc, Parker podszedł do smarkacza, złapał go za kołnierz i pchnął na kubły, jakby ten nic nie ważył. Widząc to, pozostałe dupki rozpierzchły się po parkingu, a Parker otarł ręce o spodnie.

Gdy podszedł do Ruby, spojrzała na niego tak, jakby nagle zobaczyła w mroku słońce, i położyła jego rękę na swojej piersi.

– Czujesz? – spytała, bo serce waliło jej jak młotem. – Bije dla ciebie.

To było to. Od tej chwili on należał do niej, a ona – do niego.

Teraz, gdy ten parking zniknął w oddali, Parker spytał ją, czy pamięta, jak czuła się tamtego dnia, i ten żar, który ich połączył.

– Było ciepło jak na październik – odparła beznamiętnie, a on poczuł ucisk w dołku. Na szczęście po chwili dodała: – Przypomina mi to coś, co wydarza się w powieści. Przyszedłeś tam dla mnie. Walczyłeś o mnie. Wcześniej nikt o mnie nie walczył.

Skinął głową. Miał poczucie, że coś między nimi się zmieniło.

– Z pewnością nie było to coś, co zrobiłby twój ojciec głupek – oznajmił, przypominając jej, że nie jest taki jak inni, że jest od nich lepszy.

– Owszem. Raczej by z e mną walczył – przyznała Ruby, wzdrygając się. – Ten człowiek lubił się kłócić.

Parker się nachmurzył. Nie powinien był poruszać tematu jej ojca, bo gdy to robił, Ruby od razu stawiała się posępna.

– Zawsze chciałem cię chronić – wyznał.

– Ja też chciałam, żebyś mnie chronił – oznajmiła takim tonem, który go zaskoczył. – Wtedy uważałam, że tego potrzebuję. Teraz natomiast myślę, że jesteś jak rewolwer, który kupiła moja matka po zniknięciu

ojca – pozbawiony znaczenia symbol siły. Bo jaki jest sens posiadania broni, skoro jej się nie używa?

– Więc go użyj, Ruby. Wyjmij i...

– To jest inny problem, prawda? – przerwała mu. – Bo co się stanie, jeśli go wyjmę, a po chwili ty wycelujesz we mnie? Kto mnie wtedy ochroni?

– Shane Ferrick? – prychnął.

I wcale tego nie żałował, bo nie znosił tego chłopaka, nawet obecnie, a może teraz jeszcze bardziej niż wcześniej, skoro Ruby już nie miała szansy się nim znudzić i rzucić go jak wcześniej Parkera.

– Nie waż się n i g d y... – zaczęła, rumieniąc się jak wtedy na parkingu, ale tym razem raczej ze złości niż z powodu podekscytowania, i przysunęła torebkę do piersi.

– Sorki, Rubes – pokajał się Parker. – Nie miałem tego na myśli. Po prostu... gdy cię znowu zobaczyłem...

– Widujesz mnie codziennie w szkole – fuknęła, nadal przyciskając torebkę do piersi, jakby była droga jej sercu.

Parker miał ochotę wyrwać ją z jej dłoni.

– Owszem, widuję cię, ale mnie nie dostrzegasz – odparował.

– Zgadza się – przyznała. – Bo teraz wiem, jaki jesteś, i nie dam ci się zwieść. Ani pozorom, jakie stwarzasz.

– Co przez to rozumiesz? – rzucił, naciskając na hamulec, bo przemknął obok nich żółty jaguar, omal nie uderzając w bok jego samochodu.

Podskoczyli na siedzeniach i pokręcili głowami. Wiedzieli, kto prowadzi to auto.

– Sądzisz, że jedzie tam, gdzie my? – spytał Parker, śledząc wzrokiem śmigający uliczkami jaguar, który był prezentem od niego, teraz pełnym wgnieceń i rys.

Ruby wzruszyła ramionami.

– Może tak być. Brett miał stypendium bokserskie, ale porzucił boks...

– I stracił to stypendium. Musi jakoś się wy dostać z tej miejsciny – dokończył za nią Parker.

– A co z tobą? – spytała Ruby, mierzając go wzrokiem. – Czy twój tata nie może płacić za twoją naukę? Ile rodzin wyeliminowała w tym roku z handlu sieć supermarketów Jericho Addison? Z pewnością część zarabianych przez nią pieniędzy przypada tobie.

Parker nawet nie drgnął. Był przyzwyczajony do tego, że ludzie zazdroszczą jego rodzinie odniesionego sukcesu.

– Nikt się nie bogaci, odrzucając darowane pieniądze, Rubes. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów piechotą nie chodzi – oznajmił.

– Przecież ty ich w ogóle nie potrzebujesz! – oburzyła się.

– Ale ty potrzebujesz. Mam pewien pomysł. Jeśli zwyciężę w tym konkursie, to szybko zwrócę się do fundacji z prośbą, aby przekazała połowę tej sumy tobie – zaproponował.

– Podzielisz się stypendium? – spytała, spoglądając na niego ukradkiem.

Przeszył go dreszcz. Wiedział, że Ruby go w coś wrabiała, ale nie wiedział w co.

– Oczywiście, że tak, Rubes. Wiesz, że...

– Kogo ty próbujesz oszukać? Parker Addison nie dzieli się niczym – oświadczyła, uśmiechając się złośliwie.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Parker był wściekły. Ścisnął kierownicę w taki sposób, w jaki chciałby ścisnąć Ruby. Pragnął ją trzymać w objęciach i całować, sprawić, żeby sobie przypomniała, co czuła, gdy byli razem. Niestety w milczeniu wyglądała przez okno.

Gdy pokonali długą i krętą drogę dojazdową do willi przy Cherry Street, rzucił okiem na marynarski worek, który położył na tylnym siedzeniu. W zaproszeniu było napisane, że na przyjęcie ma przynieść sznur. Gdyby ktoś próbował go powstrzymać przed odzyskaniem miłości jego życia, wziąłby ten sznur i coś by wykombinował.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl